



Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

9

CZĘŚĆ I.

PAKT NIENAWIŚCI.

ROZDZIAŁ I.

Baronowa d'Ernsmont.

Uprzywilejowane przedmieście Saint - Germain w Paryżu zatracą z każdym rokiem charakter ściśle arystokratyczny. Co związek, to mezalians! Technie modernizmu przeszło tamtędy, a przy tem i naj-sławniejsze herby muszą być niekiedy pozłoczone na nowo przez dobry ożenek amerykański lub dorobkiewiczowski.

Tak właśnie baron d'Ernsmont, rodowity szlachcic, zaślubił córkę wielkiego przemysłowca z Marais, mając lat pięćdziesiąt. Ona liczyła lat dwadzieścia dwa, a ojciec jej i natura wyposażyli ją tak, że baron mógł zapomnieć o surowości swoich zasad.

Owoż, w kilka miesięcy po tym dobranym związku, nowa baronowa padła ofiarą nadzwyczajnego podniecenia. Chodziła tam i napowrót po swoim salonie, biorąc do ręki i odrzucając papiery, leżące na tacy.

Jej niespokojne spojrzenia kierowały się nieustannie na zegar ścienny, którego złote wskazówki posuwały się wolno, zbyt wolno dla niej.

Jej niecierpliwe paluszki szukały czegoś do zgniecenia. W końcu, gorączkowo, ruchem zirygowania, zdarła koperty z kilku listów, jakie jej przyniesiono i chciała czytać. Ale myśli jej były niezawodnie gdzieindziej, oczy jej bowiem nie mogły odcyfrować pisma.

Jesień miała się ku końcowi. Niebo było zachmurzone i zwolna, jak przypływ morza, cień obejmował zbytłowne mieszkanie. Przepych stawał się mniej rządzym. Obszerny pokój nabierał w tym półmroku wielkości i charakteru; nie błyszczał, a imponował. Listwy sufitu krągliły się niejako; złocenia, zbyt żywe przy świetle, zyskiwały na bogactwie. Co do mebli, to traciły one niezbyt harmonijną sztywność i nikły po trochu. Portrety rodzinne stawały się surowe i zasypiały w swych rzeźbionych ramach, skośnym wejrzeniem mierząc baronową d'Ernsmont.

Odsunęła otwarte listy i coraz bardziej podniecona, z mocą deptała puszysty dywan, którego miękkość gniewała ją poniekąd. Poczem, zaczęła chodzić, stanęła przed lustrem weneckiem, a poprawiając coś nie coś w swojej koafurze, przypatrywała się sobie długo... Była przedziwnie piękną przy tych ognistych oczach, z tą twarzą o rysach miękkich i regularnych, z tą czarną masą włosów, z tą smukłością talii i pełnością piersi, która nie karmiła dotąd, a której obcisła suknia uwydatniała cudne kontury. Była piękną tą urodą ciepłą i pojętną, która topi serca człowieka najbardziej prze-syconego.

Pod jej okragłym czołem wzbierała burza wewnętrzna. Zgadywało się w niej wybuchy nieposkromione, żądze ogniste. Mąż jej miał pięćdziesiąt wiosen i tyleż zim, nie zapominajmy o tem!...

Wybiła godzina siódma.

— Jeszcze pięć godzin — szepnęła.

Zajęta swemi myślami, stała, wyciągając ręce. Nagle nogi jej osłabły, pierś zapadła. Znekana, padła na sofę i rozrzuciła się na niej, zamykając powieki, ażeby nic nie spłoszyło jej wizyi...

— Ach, Yago! — szepnęła — Yago! Yago?

Jakaż znakomitość z arystokratycznego przedmieścia mogła nosić to niepowiadane nazwisko? Żadna. Była wprawdzie w Paryżu, gdzieś opodal rogatki Clichy, menażerya niejakiego Yagona, pogromcy. Ale jak przypuścić, ażeby taka baronowa d'Ernsmont mogła marzyć o Yagonie, jak pospolita mieszcza?

— Yago! — powtórzyła.

Dreszcz ją przebiegł; dostała histerycznego śmiechu, który ścisnął jej gardło i zamienił się w skargę. Porwana fikcją idealną, dręczyła się, jak w obłędzie. Istna Sapho!

Po kilku minutach, zapadła w zupełną nieruchomość. Kryzys przeszedł. Teraz, baronowa była już spokojna, albo przynajmniej panowała nad burzą, która przed chwilą wrzała w jej podnieconym mózgu. Odbýwała się reakcja. Wstała z wysiłkiem i zadzwoniła na służbę. Weszła pokojowa.

— Nie będę jadła obiadu — rzekła poprostu baronowa.

— Pani może jest cierpiącą. Czy mam co podać?

— Nie, potrzebuję spokoju. Możesz wyjść, jeżeli chcesz. Jutro przyjdiesz mnie ubrać dość późno. Zostaw mnie samą, Maryniu.

Ta skłoniła się i wyszła, dość zdziwiona humorem swej pani. W rodzinach arystokratycznych, każde z małżonków posiada oczywiście apartament własny. Jedynie tylko mieszczenie gnieźdzą się w dwóch sypialniach, a biedacy na jednym łóżku. Tym jednak może i najlepiej na świecie.

Pani d'Ernsmont przeszła do swego apartamentu i zamknęła się na klucz. Zamiast się kłaść do łóżka, usiadła na kozetce w sypialni, wpatrując się uporczywie we wskazówki zegara, na którym było w pół do ósmej. Niebawem zmęczona, usnęła głęboko.

Godziny szły jedna za drugą z nieposzlakowaną regularnością.

Gdy się baronowa ocknęła, ciemność była zupełna, światło zgasało. Zegar jął bić zwolna. Raz... dwa... trzy... Baronowa nasłuchiwała. Cztery... pięć... sześć... siedm... Liczyła uderzenia, oszołomiona i przypuszczając, że to złudzenie. Ośm... dziewięć... dziesięć... jedenaście... Dźwięk mosiądzu rozległ się dwadzieścia razy i umilkł. Inne uderzenia dały się słyszeć z oddali.

— Północ, ach, północ! — zawołała pani d'Ernsmont ze łzami guiewu. — Nie czeka już na mnie!

Zrozpaczona i wściekła tupnęła nogą. Cisza głęboka panowała w pałacu. Wszyscy spali już pewno. Zapaliła światło, a przeszedłszy do umywalni w gabinecie sąsiednim, zwiżyła sobie twarz obficie wodą. Uczucie zimna uspokoiło jej wzburzenie. Stojąc, jąła się namyslać.

— Nic nie szkodzi, pójdę — szepnęła po cichu.

Jej twarz zmieniona, zęby zaciśnięte, cała jej postać świadczyła o postanowieniu nieodwołalnym.

Włożyła kapelusz, opuściła woalkę, okryła się szalem i na odchodnym obejrzała się raz jeszcze w lustro. Wyszła, zamykając starannie drzwi za sobą. Pół wybiło, gdy eleganka lunatyczka schodziła bez hałasu, zatrzymując się za lada skrzypnięciem podłogi, poczem szła dalej, hamując oddech, robiąc się lekką i unikając najmniejszego bodaj potknięcia. Znalazła się w ten sposób w ogrodzie, który minęła szybko, a dotarłszy do furtki od tyłu, wyjęła klucz z kieszeni i otworzyła zamek. Klucz szczękął głośno. Zlekła się i zamknawszy furtkę, szybko uciekła, kierując się na prawo i przechodząc zdwojonym krokiem wzdłuż pałacu. Niebawem jednak, uspokojona ciszą, panującą w tej bogatej dzielnicy, zwolniła kroku. Szła dalej dość szybko, jak zapóźniona kobieta uczciwa. Czas był wilgotny i noc czarna. Zaczynał mżyć kapuśniaczek. Piękna uciekiniarka zatrzymała się pod latarnią.

— Mam dobre wskazówki — rzekła półgłosem. — Ale to daleko! Zobaczmy jeszcze raz adres.

I pani d'Ernsmont, wydobywszy kartkę z za gorsu, czytała przy dygocącym świetle gazu:

BULWAR CLICHY.

NIESŁYCHANA ATRAKCYA.

YAGO KRÓL POGROMCÓW

i

DEMONA SŁAWNA POSKROMICIELKA.

Wtedy, parta szaloną żądzą, rozrętniona, z okiem płonącym, pobiegła dalej, mijając ulice, ślizgając się po mokrych chodnikach, chlapiąc się w rynsztokach, niecierpliwa, cała w gorączce.

Nareszcie spotkała wolną dorożkę i... wsiadła co żywo...

ROZDZIAŁ II.

Yago, czerwony pogromca.

Paryż już się przesycił nieco pogromcami. Wdziano menażerye, w których lwy żyją w zgodzie z owieczkami, jak bodaj u starego ojca Pezona, legendowej pamięci i urok niebezpieczeństwa przepadł. Pogromcy jarmarczni uważani są tylko za nader zręcznych obłaskawiaczy. Pokazują sztuki dzikich zwierząt, wychowywanych od kilku pokoleń przez suki, ale wszyscy razem nie są tak awanturnicy, jak głośny swojego czasu Bidel. Urok pogromcy znikł wraz z kulturą zwierza, zwanego dzikim. Wielcy jednak przedsiębiorcy widowisk paryskich jeli poszukiwać wyjątków fenomenalnych w tym rodzaju.

Wtedy zaczęło się spostrzegać pogromców niepowiadanych, takich jak dawniejsi, prawdziwych. Z niejakim powodzeniem spotkały się występy takich Cooperów i Delmoniców. Tem lepiej! To byli przynajmniej pogromcy, co się zowie! Ich zwierzęta nie miały wyglądu skradających się psów. I tłum cisnął się na te widowiska, gdzie można było przypuszczać, że będzie coś.

Przez bicie tygrysów i lwów i przez strzelanie im pod nosem z rewolwerów, pogromcy musieli zostać pożarci prędzej czy później. To też asystowano walkom pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Delmonico pasyjonował przedewszystkiem Paryż. Ten wielki murzyn-szalaniec musiał być w końcu pożarty! Przeczuwało się to.

To też w *Folies-Bergère* co wieczór zamykano kasę przed rozpoczęciem widowiska. Zdarzał się płoch.

Taka n. p. ręka pogromcy, chwycona przez paszczę lwicy.

Ale potem zjawiał się amputowany wśród zwierząt, spuszczonej z łańcucha. I padał na ich szpony po walce wspaniałej, okropnej, tytanicznej. Wypało zabijać te zwierzęta bagnetami przez kraty klatki. On protestował, wołając, że to sprawa pomiędzy nim, panem, a jego podwładnymi zwierzętami. I to ociekając krwią obficie. A ludzie mówili:

— To mi pogromca!

Przynajmniej było za co płacić.

Otóż, pewnego dnia ukazały się na murach Paryża olbrzymie afisze, wyobrażające dzikusa, przywiązanego łańcuszkami do krzesła, i lwów i tygrysów, skaczących wokoło, a podniecanych szpicrutą kobiety na wpół obnażonej. Piękna ta para miała sukces bajeczny. Byli to Yago i Demona.

Yago miał cerę miedzianą. Podawał się za czerwonoskórca dla większej sensacji, ale dość mu było otworzyć usta, ażeby się upewnić co do jego narodowości. Był to Marsylińczyk i żył sobie skromnie, pracując nad poskromieniem starego niedźwiedzia suchotnika, o którym mówił, że jest bardzo dziki, *mon bon*. Wypadek natknął go na sławną już siostrę po fachu. Była to głośna pogromczyni algierska Demona.

Południowiec uwiódł ją i stał się sam pogromcą seryo.

Porzucił swego niedźwiedzia, który zdechł smutnie w kacie jakiejś stajni, i przybrał nazwę Yago-